

ISSN 2719-6941

SWARZĘDZKIE ZAPISKI

CZASOPISMO REGIONALNE



Numer 2

Rok 2021

SPIS TREŚCI

PRZED LATY	1
W BIBLIOTECE	2
W SCHiS	3
○ DZIECIŃSTWIE W SWARZĘDZU	3
Zabawy na swarzędzkich osiedlach w PRL	3
Kolorowe wozy	5
Smaki wakacji	5
WPISANI W HISTORIĘ MIASTA	6
Teofil Firlik	6
Stafr – Fabryka Płyt Fotograficznych	8
Duplum – co to takiego?	10
LUDZIE Z PASJĄ	12
Z radiem za pan brat – wywiad	12
PRZY KOMINKU	14
Antoni Kobza, <i>Pogańska świątynia, skarby w jeziorze i tur na bagnach</i>	14
Hanna Jałocha, <i>Pejzaż horyzontalny</i>	20
Hanna Jałocha, <i>Skarby na każdą kieszeń</i>	20
Agata Widzowska, <i>Z pamiętnika Covida Covidowicza von Sars</i>	21
Agata Widzowska, wiersze	

Wydawca:

Swarzędzkie Centrum Historii i Sztuki
 ul. Bramkowa 6, 62-020 Swarzędz

Biblioteka Publiczna w Swarzędzu
 os. Czwartaków 1, 62-020 Swarzędz

Adres redakcji:

e-mail: biblio@biblioteka.swarzedz.pl,
 administracja@muzeum-swarzedz.pl

Redakcja:

Hanna Jałocha, Renata Czarnecka-Pyła,
 Aurelia Bartoszek, Magdalena Kozłowska

Na okładce: Swarzędz z lotu ptaka,
 fot. Rafał Wojtyński

Skład, druk i oprawa:

VEGA Studio Adv., www.grupavega.pl

ISSN: 2719-6941

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, nie zwraca nadesłanych materiałów, nie ponosi jednocześnie odpowiedzialności za błędy merytoryczne i językowe w nadesłanych tekstach. Przedruk i kopiowanie materiałów tylko za pisemną zgodą redakcji.

INFORMACJE DLA AUTORÓW

- 1) Materiały do publikacji powinny być złożone w redakcji w postaci pliku tekstowego w formacie Word (doc lub docx) czcionką 12 pkt najlepiej Times New Roman.
- 2) Teksty nie powinny przekraczać 40 tys. znaków ze spacjami, tj. 8 stron formatu A4 lub 16 stron formatu A5, a przypisy do tekstu znajdować się na końcu strony.
- 3) Redakcja ma prawo skracania oraz zmian w tekstach.
- 4) Materiały nie powinny być wcześniej publikowane. Redakcja nie ma obowiązku drukowania tekstów, które nie były wcześniej zamówione.
- 5) Materiały ilustracyjne powinny być w miarę możliwości dostarczone w plikach graficznych jpg o rozdzielczości 300 DPI. Każda proponowana ilustracja powinna być opatrzona tytułem oraz nazwiskiem i adresem autora lub właściciela praw autorskich.
- 6) Autor tekstu powinien złożyć w redakcji oświadczenie o zgodzie na publikowanie tekstu i materiałów uzupełniających.

Od redakcji

Kiedy składamy do druku kolejny numer naszych „Swarzędzkich zapisków”, mamy zimny, wietrzny i deszczowy maj 2021 roku. Za to z tym numerem wsiądziemy do wehikułu czasu (słowa mają moc przenoszenia nas w czasie) i ruszymy w podróż. Będziemy się m.in. przenosić do lat dzieciństwa – odwiedzać cygańskie tabory, pić kompot z rabarbaru i rzucać z dziećmiakami zaschniętymi grudkami piasku. Ach, słodkie dzieciństwo... Drzewo cze-reśniowe pod które szło się zaraz po odłożeniu świadectwa. Dziadkowie z drabiny zbierający soczyste owoce i sok ściekający po palcach na białą bluzkę. Bieganie na bosaka i taplanie się w ciepłych kałużach po burzy, granie

w „kolarzy” kapselkami... Wracajmy jednak do numeru. Posłuchamy o starych radioodbiornikach, o Teofilu Firliku i fabryce Stafr. Na koniec rozciągniemy nogi PRZY KOMINKU, zasiadając z „czym tam kto lubi” w szklance i zrelaksujemy się przy prozie i poezji, która będzie podróżą do czasów piastowskich w Swarzędzu, by przemknąć do lepienia pierogów z Covidem Covidowiczem.

Kolejny numer, który wyjdzie pod koniec września, chcemy poświęcić historii szkolnictwa w naszej gminie. Czekamy na Wasze teksty!

Życzymy Wam gorącego lata i do zobaczenia jesienią!

...

PRZED LATY

Działo się...

Pokaleczona przez psa

Wczoraj w okolicy lasu królewskiego pomiędzy Zielińcem a Gruszczyńem została napadnięta przez psa owczarskiego 18 letnia Grochowska z Zielińca. Pies pokąsał dziewczynę dotkliwie po twarzy i rękach pozostawiając poważne rany. Dziewczynę odwieziono do Szpitala Ortopedycznego w Swarzędzu, gdzie dokonano koniecznej operacji. Właścicielem niebezpiecznego psa jest Niemiec Röder z Gruszczyńa.

(„Dziennik Poznański”, 26.08.1934 r.)

Śmierć w pociągu po wypiciu zimnej wody

Poznań. W pociągu odchodzącym z Poznania do Warszawy zmarł w pobliżu stacji Swarzędz we wtorek o godzinie 17:10 pasażer śp. Jan Caliński zam. w Warszawie przy ulicy Śliskiej 41. Caliński przed odjazdem z Poznania napił się

w pośpiechu wody, co prawdopodobnie było przyczyną zgonu. Na dworcu w Swarzędzu namaścił zwłoki tragicznie zmarłego ks. wik. Rode, poczem zwłoki przewieziono do kostnicy.

(„Pałuczanie”, 31.05.1936 r.)

Chciał zastrzelić ks. Proboszcza

Swarzędz. Wczoraj wieczorem nieznany osobnik wtargnął na plebanię miejscową. W bliżej niewyjaśnionych okolicznościach strzelił do proboszcza miejscowego ks. Koźlika. Strzał chybił. Gdy rabuś po raz drugi zamierzał strzelić, rewolwer się zaciął. Razem z przybiegłym na pomoc księdzem wikariuszem Rhodem, zdołał ks. proboszcz Koźlik rozbroić opryszkę, tenże jednak zdołał zbiec. Wyjaśnieniem sprawy zajęła się policja.

(„Kurier Pałucki”, 1.12.1936 r.)

*zachowano oryginalną pisownię

W BIBLIOTECE

Tydzień bibliotek 2021 „znajdziesz mnie w bibliotece”

Biblioteka Publiczna w Swarzędzu w ramach tegorocznego Tygodnia Bibliotek zorganizowała mnóstwo atrakcji.

1. Inauguracja ROŚLINODZIELNI. Na os. Czwartaków niedaleko Biblioteki Publicznej zaczęła działać ROŚLINODZIELNIA. Mieszkańcy gminy przynoszą tu nadmiar swoich plonów. Są to rośliny domowe, ogrodowe, sezonowe owoce i warzywa, nasiona, cebulki i odnóżki kwiatów. Każdy chętny może zabrać z półki to, co wystawili inni. ROŚLINODZIELNIA to regał, który Cech Stolarzy Swarzędzkich podarował miastu w 2018 z okazji święta miasta – Józefinek. Należy do grupy „Meble miejskich”, które można znaleźć w naszym mieście. Teraz regał został przez Cech odnowiony i służy mieszkańcom w odnowionej formule. Pomysłodawczyniami ROŚLINODZIELNI są bibliotekarki z Biblioteki Publicznej. Współpracując z Działem Promocji Urzędu Miasta i Gminy, zaadaptowały regał do potrzeb projektu. Z inicjatywy bibliotekarek Swarzędzanie dzielą się już książkami, które przeczytali. W ramach bookcrossingu oddają książki, które są w dobrym stanie i mogą cieszyć innych. Regały na przeczytane lektury stoją w holu biblioteki po to, by książki nie mokły w oczekiwaniu na nowego czytelnika. Bibliotekarki liczą na to, że tak jak chętnie czytelnicy dzielą się książkami, tak równie chętnie mieszkańcy będą się wymieniać plonami. Z ROŚLINODZIELNI można korzystać przez cały sezon, aż do późnej jesieni.

**Zasady działania ROŚLINODZIELNI:**

- ▶ Zostaw rośliny, którymi chcesz się podzielić. Mogą być to rośliny domowe lub ogrodowe, odnóżki, nasiona, cebulki, plony.
- ▶ Zabierz roślinę, której chcesz dać dobry dom lub miejsce w ogrodzie.
- ▶ Zostaw porządek na półkach naszej wspólnej roślinodzielni!

2. Konkurs z nagrodami pt. „Biblioteka moich marzeń” skierowany do czytelników w wieku 0-15 lat.

3. Codzienne zgadywanki na FB. Osoba, która pierwsza prawidłowo odpowiedziała na zadane pytanie otrzymała drobny upominek.

4. Minirecenzje czytelników. Na małych karteczkach w bibliotece czytelnicy wpisują tytuł książki, którą chcą polecić lub odradzić innym czytelnikom, rysując przy nim uśmiechniętą lub smutną buźkę-ikonkę. Karteczki przyczepiali na tablicy umieszczonej w holu. Zabawa cieszyła się dużym powodzeniem.

5. Abolicja obowiązywała do końca maja. Każdy czytelnik, który miał przetrzymane książki mógł je oddać bez konsekwencji finansowych.



W SCHiS

Analogowy Świat Fotografii

W dobie cyfryzacji Swarzędzkie Centrum Historii i Sztuki zaprosiło do podróży w przeszłość, do „Analogowego Świata Fotografii”. Udało się to dzięki Karolowi Wilczyńskiemu, który stworzył Małe Objazdowe Muzeum Fotograficzne i udostępnił mieszkańcom Swarzędza swoje zbiory.



Karol Wilczyński
(fot. A. Nowacki)

Oficjalne otwarcie wystawy w SCHiS miało miejsce w poniedziałek 24 maja br. Wśród zaproszonych gości obecni byli przedstawiciele władz miasta – burmistrz Marian Szkudlarek i sekretarz Agata Kubacka oraz sekcja fotograficzna swarzędzkiego Ośrodka Kultury. Podczas uroczystości, o swojej wielkiej pasji do analogowych aparatów oraz o swojej kolekcjonerskiej przygodzie, opowiadał twórca MOMF, Karol Wilczyński – „MOMF to nie tylko aparaty, których jest około 600 sztuk, to nie tylko

sprzęt fotograficzny, pamiątki, bibeloty, materiały światłoczułe, książki, gazety, dokumenty, czy też kolekcja starych zdjęć i negatywów. To nie tylko wystawy, pokazy, wykłady. To też badanie historii, zarówno historii techniki, jak i firm produkcyjnych, zakładów fotograficznych, czy też przemysłu fotograficznego”.

Uczestnicy wernisażu byli pod wielkim wrażeniem ilości oraz jakości zgromadzonych sprzętów i z dużym zainteresowaniem zadawali pytania. Mieli ku temu szczególny powód – jedna z gablot poświęcona jest Fabryce Płyt Fotograficznych „Stafr”, która funkcjonowała w Swarzędzu na przełomie lat 20. i 30. XX w.

SCHiS



Karol Wilczyński z Marianem Szkudlarkiem,
Burmistrzem Swarzędza (fot. A. Nowacki)

...

O DZIECIŃSTWIE W SWARZĘDZU

Zabawy na swarzędzkich osiedlach w PRL

Gdy do nowych bloków wprowadzali się kolejni mieszkańcy, infrastruktura osiedli była w powijkach. Brakowało oczywiście chodników, parkingów i dróg, a co dopiero miejsc do dziecięcych zabaw. Dlatego dzieci, wychodząc na przysłowiowe podwórko, musiały ubierać się w kalosze, by nie utonąć we wszechobec-

nym błocie. Tak pamiętam początki życia na osiedlu Kościuszkowców.

Początkowo jedyną „zabawą” było tańczenie się w kałużach i w błocie, ale już za chwilę zaczęły nas ciekawić budowane nie opodal bloki. To tam odbywały się niekończące gonitwy, szukana, skoki z pierwszego piętra na

piasek, penetrowanie piwnic czy wchodzenie na budowlanego żurawia. Z każdym miesiącem przybywało nowych kompanów do zabaw, ale jednocześnie rozszerzał się horyzont naszych „podbojów” terytorialnych. Takim miejscem był teren, gdzie z czasem powstała sala gimnastyczna dla szkoły nr 4. W tym miejscu były składowane duże żelbetowe prefabrykaty w kształcie litery U. Ich specyficzne składowanie tworzyło duży labirynt, gdzie bawiące się dzieci zakładały swoje bazy. W tym momencie pojawił się problem, bo już wcześniej upatrzyli sobie to miejsce młodzi mieszkańcy osiedla Czwartaków. Na tym tle zaczęło dochodzić do sprzeczek, kto jest właścicielem tego miejsca. I tak zaczął narastać konflikt między chłopakami z Czwartaków a Kościuszkowców. Dochodziło do częstych wojen między tymi osiedlami na niezagospodarowanym terenie, na którym dziś jest SP nr 4, Przedszkole „Zielona Półnoka” i kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej. Główną bronią były tzw. grudki, czyli zaschnięte kawałki piasku z gliną, których na tych terenach nie brakowało. Niestety nie była to błaża „broń”, gdyż pamiętam, na jednej z takich potyczek kolega trafiony grudką w czoło musiał pojechać na szycie do szpitala. Dziś nie pamiętam, ile i jak często dochodziło do starć między osiedlami i kto był górą. Pewnie po latach każdy inaczej to pamięta. Przypominam sobie, że po jednej z wygranych potyczek przez chłopaków z Kościuszkowców, zdobyliśmy bunkier chłopaków z Czwartaków, gdzie zamontowana była własnej konstrukcji luneta do obserwacji terenu i zapas grudek. Innym strasznym miejscem był wykopany głęboki rów na wysokości dzisiejszego chodnika między SP nr 4 a przedszkolem,

gdzie chłopaki z osiedla Kościuszkowców spychali i przetrzymywali „jeńców”.

Z czasem, gdy pojawiały się place zabaw, a sporny teren zaczął być zabudowywany, młodzi mieszkańcy zarzucili swoje bojowe zabawy. Zaczęto odkrywać dziki wtedy teren skarpy nad naszym jeziorem. Miejsce to za każdym razem przynosiło ciekawe odkrycia. Były tam dwie liny zawieszone na drzewach, na których można było się huśtać, budowano bazy w krzakach czy orle gniazda na drzewach. A na samym końcu osiedla Kościuszkowców zimową porą przy dzisiejszych schodach zjeżdżało się na sankach. Tam czasem dochodziło jeszcze do utarczek słownych, do kogo należy górką, i że jakoby ludzie z osiedla Czwartaków nie mogą tam zjeżdżać. Na szczęście emocje były już przebrzmiałe i kończyło się tylko na słowach.

Te wspomnienia to oczywiście mój subiektywny opis tego czasu. Pewnie po latach każdy inaczej to pamięta. Jednak pomyślałem, że warto to spisać.

Ps. Słyszałem od starszych kolegów, że między osiedlami Dąbrowszczaków a Zygmunta III Wazy też swego czasu dochodziło do napięć i bitew, ale może to opiszą kiedyś ich uczestnicy.

Jarosław Kowalski



Dzieci na ławce podwórku osiedla Czwartaków między blokami 14 i 16. W tle osiedle Kościuszkowców (fot. Maciej Przywecki)

Kolorowe wozy

Dzieciństwo, które pamiętam, to lata pięćdziesiąte. Czasy, kiedy większość dzieciaków nie zaznała luksusów, a jednak były szczęśliwe, a ich dni płynęły beztrudno. Nikt z nas nie słyszał o zajęciach pozaszkolnych, o korepetycjach, szkołach językowych. Wolny czas (a mieliśmy go dużo) spędzaliśmy z kolegami na zabawie. Najciekawsze jest to, że w czasie kiedy nie było telefonów i internetu, wszystkie wieści rozchodziły się po Swarzędzu błyskawicznie. Dlatego kiedy do miasta zbliżał się kolejny cygański tabor, my – dzieciaki, mimo ostrzeżeń rodziców (wszak straszono wtedy dzieci, że porwą je Cyganie), biegliśmy ile sił w nogach, żeby zobaczyć prawdziwe widowisko. Pamiętam, jak rozbijali swoje obozowisko na polanie za „Olszynkami”, na końcu dzisiejszej ścieżki nad jeziorem. To, co mi szczególnie

utkwilo w pamięci, to zapach koni i skubanie kur z pierza przed ich gotowaniem. Cyganie chętnie gościli nas w swoim obozowisku. Widzieliśmy, jak przygotowywali swoje garnki i patelnie na sprzedaż, bawiliśmy się z ich dziećmi, słuchaliśmy muzyki i oglądaliśmy tańce. Przyjeżdżali o różnych porach roku. Pamiętam, jak zimą cygańskie dzieci bawiły się z nami na ślizgawce na jeziorze. Różniliśmy się tym, że my jeździliśmy po lodzie na butach lub łyżwach, a oni – na bosaka. Jakoś na początku lat sześćdziesiątych przyjechał do Swarzędza ostatni tabor. Rozbił swoje obozowisko w „Kasztanach” koło kościoła św. Marcina. Wtedy, my – swarzędzkie dzieciaki, po raz ostatni widzieliśmy kolorowe wozy...

Jan Kułakowski

...

Smaki wakacji

Długo myślałam, które wspomnienia z dzieciństwa opisać. Jest ich naprawdę wiele, jednak najfajniejsze są te z wakacji. I to wcale nie z wakacji nad morzem, w górach, a tym bardziej nie z wakacji za granicą. Najfajniejsze były te blisko domu. A najfajniejsze dlatego, że bez ograniczeń mogliśmy korzystać z wolności, pogody i dobrodziejstw okolicznej przyrody. I to wszystko w wyśmienitym towarzystwie przyjaciół z podwórka. Były to czasy (lata 80.), kiedy nikt dorosły nie musiał nas pilnować; wychodziliśmy z domu rano i wracaliśmy wieczorem. Często spędzaliśmy czas nad Cybiną, gdzie na polanie znajdowała się trawiasta plaża. Wcześniejsze pokolenia kąpały się jeszcze w Jeziorze Swarzędzkim, ale w latach osiemdziesiątych było już mocno zanieczyszczone i nam nie pozwalano. Używane były tylko plaże po gruszczyńskiej stronie. Nad Cybiną można było rozłożyć koc w pobliżu wody lub na górze (dzisiaj prywatna i zabudowana). Te wyprawy kojarzą mi się ze smakiem kompotu

z rabarbaru lub agrestu, który mama dawała w szklanej butelce po wodzie grodziskiej. W słoiku dostawaliśmy sałatkę z pomidorów i ogórków. A na zboczu wzgórza można było nazbierać poziomek. Ale to nie wszystkie smaki wakacji. We wtorki i piątki wybierałam się z mamą na targ, gdzie pięknie pachniały truskawki, wiśnie, czereśnie, jabłka papierówki, agrest, porzeczki i wiele innych owoców. Kupowaliśmy również ogórki, szabelek (fasolka szparagowa), buraki, kapustę, pomidory. Wszelkie dary lata. Wszystko to trafiało do słoików i czekało w piwnicy w postaci kompotów, dżemów, sałatek i kiszzonek. Kiedy otwieraliśmy je zimą, ich zapach i smak przypominał nam najpiękniejsze wakacyjne chwile.

Smaków z mojego dzieciństwa trudno doszukać się w dzisiejszych owocach i warzywach. Nie ma już też atmosfery targu z tamtych lat...

Hanna Jałocha

WPISANI W HISTORIĘ MIASTA

Teofil Firlik 1912-1945

W Swarzędzu nazwisko Firlik jest dość popularne, choć większości kojarzy się ono z osobą Romana Firlika, lekkoatlety, biegacza. W tym artykule chcemy jednak przypomnieć postać Teofila Firlika, stolarza i strażaka. Postać w Swarzędzu nieznaną.

Urodził się w naszym mieście 25 kwietnia 1912 roku w rodzinie stolarza Franciszka i jego żony Marianny z domu Jaśkowiak. Tutaj uczył się w szkole powszechnej, a później nabywał umiejętności w zawodzie stolarza – zgodnie z rodzinną tradycją. Gdy wybuchła druga wojna światowa, miał 27 lat, podlegał więc obowiązkowej mobilizacji. Trafił do twierdzy Modlin, a po jej kapitulacji uciekł z szeregów jeńców i po wielodniowej tułaczce powrócił do Swarzędza. Nie zagrażał w nim jednak długo miejsca, bo już w drugiej połowie 1940 roku wraz z rodziną został wysiedlony do Generalnego Gubernatorstwa. Trafił do dalekich Starachowic, gdzie skierowano go jako stolarza do pracy w Starachowickich Zakładach Zbrojeniowych. Starachowice

w latach 1936-1939 były jednym z ważniejszych ośrodków Centralnego Okręgu Przemysłowego Polski (COP), były więc łakomym kąskiem dla władz niemieckich. Na początku okupacji władze wojskowe przekazały by koncernowi zbrojeniowemu „Herman Goering Werke”, który uruchomił w nich produkcję na

potrzeby wojenne. Niewolniczą siłę roboczą w zakładach stanowili Polacy, a od 1942 roku także Żydzi zamknięci w pobliskich obozach pracy.

Do Swarzędza Teofil Firlik powrócił dopiero w 1945 roku. Warunki w mieście nie były dobre. Chcąc się usamodzielnic – posiadał przecież rodzinę, którą założył tuż przed wojną – zainteresował się hasłami nowej władzy, nawołującymi do osiedlania się na tzw. dawnych ziemiach piastowskich. Wśród haseł było też to o przejęciu pod opiekę Wielkopolski nadmorskiego Szczecina, miasta opuszczonego w znacznym stopniu przez dawnych mieszkańców. Piotr



Teofil Firlik z rodziną: żoną Heleną i córką Julianną.
Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w Starachowicach w okresie okupacji.
Własność rodziny, publikowane za jej zgodą.

Zaremba, pierwszy prezydent powojennego Szczecina, pochodzący zresztą z Poznania, w swych zapiskach z tamtego okresu zanotował: „30 kwietnia naliczyliśmy co najmniej piętnaście skupisk ognia, wobec których byliśmy bezsilni”. Tego samego dnia Polacy przyłapali kilku podpalaczy – Niemców z formacji SS

przebranych w cywilne ubrania. Szczecin potrzebował strażaków, bo miasto płonęło.

Teofil Firlik był nie tylko stolarzem, był także strażakiem, który doświadczenie zdobywał w swarzędzkiej Ochotniczej Straży Pożarnej, i właśnie jako strażak zgłosił się do pracy w Szczecinie. Wyjazd miał być dla niego furtką do lepszego życia, samodzielnego mieszkania i pewnej pracy. Szukał tutaj możliwości realizacji swoich marzeń. Żona wraz z 6-letnią córką pozostawały w Swarzędzu. Miały przyjechać do Szczecina, gdy warunki bytowe tam poprawią się na tyle, że pobyt będzie dla wszystkich bezpieczny.

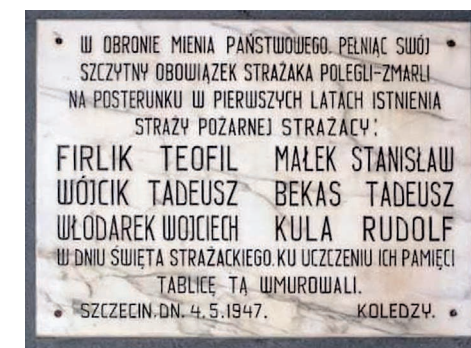
Znalazł się więc w pierwszej grupie osadników wyruszających z Poznania w dniu 3 maja 1945 roku po patriotycznej akademii na Placu Wolności. Grupa liczyła blisko 1000 osób, a wyjazd organizował Polski Związek Zachodni.

Po trudach podróży trafił od razu w wir pracy w Szczecinie. Tak jak wspominał Piotr Zaremba – pożary wybuchały co chwila, a strażacy nie nadążali z ich gaszeniem. W czasie jednego wyjazdu do pożaru wóz gaśniczy zderzył się z pędzącym samochodem z żołnierzami rosyjskimi. Niektórzy naoczni świadkowie mówili, że nie byli oni w pełni trzeźwi. Uderzenie było silne, w jego wyniku – prawdopodobnie od obluźnionej motopompy – obrażeń doznał Teofil Firlik. Zginął na miejscu, kilku pozostałych strażaków zostało rannych. Warto tylko dodać, że poprzedniego dnia Niemcy hitlerowskie skapitulowały wobec aliantów, a nasz kraj był w Szczecinie tylko kilka dni. Koniec wojny nie był dla rodziny Firlików szczęśliwy.

Pogrzeb stał się dużą manifestacją patriotyczną w mieście. Nie było jeszcze gazet codziennych, tylko nekrologi rozklejane na ścianach kamienic, w których mieszkali Polacy, a mimo to informacja o tragedii i pogrzebie rozeszła się szybko. Udział w pogrzebie potraktowano jako wyraz sprzeciwu wobec stosunków panujących wówczas w mieście. Pochowano go z honorami wojskowymi w ogrodzie przy parafii pw. św. Jana Chrzciciela, jedyne czynne kościoła. Grób w ogrodzie przykościelnym przetrwał aż do lat siedemdziesiątych XX wieku, gdy doczesne szczątki zostały przeniesione na szczeciński Cmentarz Centralny i złożone

w grobie w Alei Strażackiej. Żona Helena nie uczestniczyła w pogrzebie. O tragicznej śmierci męża dowiedziała się dopiero po upływie miesiąca od wypadku. Nie osiedliła się nigdy w Szczecinie, mimo oferowanego jej tam mieszkania.

Teofil Firlik jest patronem szczecińskiej ulicy, przy której znajduje się zabytkowy budynek straży pożarnej. Wymieniony jest także na tablicy umieszczonej na ścianie siedziby obecnej Komendy przy ul. Grodzkiej wśród strażaków, którzy zginęli w Szczecinie w pierwszych latach po zakończeniu wojny. Jego nazwisko znajduje się także na kamiennej tablicy poświęconej szczecińskim pionierom. Szczecin nie zapominał o strażaku, który zginął jako pierwszy w odzyskanym Szczecinie.



Tablica z nazwiskami strażaków, którzy zginęli w Szczecinie w trakcie pełnienia swoich obowiązków. Zdjęcie pana Lecha Greli, publikowane za jego zgodą.

Źródła: P. Zaremba, *Wspomnienia prezydenta Szczecina 1945-1950*. Poznań 1977; „Głos Wielkopolski” 1945 nr 59-73; G. Wejman, *Strażak Teofil Firlik – pionier Szczecina*. „Studia Paradyjskie” 2017, s. 234-254; ks. K. Świetliński TChr, *Wspomnienia i przeżycia kwiecień – grudzień 1945*. Archiwum Państwowe w Szczecinie. Zbiory relacji i wspomnień; „Stary Dawny Szczecin miłośnicy historii Szczecina” – strona na FB.

Aurelia Bartoszek

„Stafra” Fabryka Płyt Fotograficznych w Swarzędzu historia firmy

Wszystko zaczyna się w pierwszym lub drugim kwartale 1927 r. w Poznaniu. Franciszek Nowak i Stanisław Czajka wykupują jedną z najstarszych polskich fabryk fotograficznych EWI i przekształcają ją na duże przedsiębiorstwo pod nazwą „Stafra” Fabryka Płyt Fotograficznych. W czerwcu 1927 r., dzięki znacznemu kapitałowi nowych wspólników, został wkopany kamień węgielny pod nowe zabudowania fabryki mieszczącej się w Swarzędzu na ulicy Dworcowej 17/19. Zarząd zapewnia, że fabrykę wzniosą z uwzględnieniem najnowszych wymogów techniki, a nad jakością wyrobów będzie czuwał uczony fotochemik dr. Teofil Orłowski.

Z początku produkcję płyt fotograficznych uruchomiono w byłej fabryce „Ewi” przy ulicy Górna Wilda 119 w Poznaniu. Pomimo iż był to tylko zakład rzemieślniczy, to dr Orłowski podołał oczekiwaniom klientów.

Od lipca 1927 r. firma posiada biuro przy Alejach Marcinkowskiego 28 w Poznaniu. I choć fabryka w Swarzędzu była dopiero w budowie, to „Stafra” kładzie olbrzymi nacisk na promocję firmy. Prócz wysyłania próbek płyt fotograficznych do gazet i sklepów, inwestuje w reklamę drukowaną w czasopiśmie oraz drukuje katalogi swoich wyrobów. Bierze też udział w Targach Wschodnich we Lwowie we wrześniu 1927 r. Dziennik Bydgoski wspomina że „... ma ona szerokie pole do rugowania wyrobów zagranicznych”. Innym sposobem na reklamę były też konkursy fotograficzne dla amatorów. Pierwszy z nich został ogłoszony



1927 r. LOTNIK Reklama Stafry przy Al. Marcinkowskiego 28

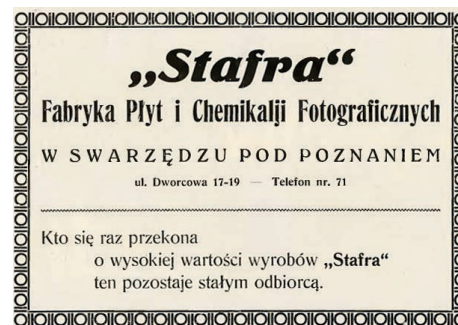


1929 r., Stafra, patent na logo

na łamach miesięcznika „Fotograf Polski” w lutym 1928 r.

Nie udało mi się ustalić, kiedy konkretnie fabryka w Swarzędzu została otwarta, jednakże był to pierwszy kwartał 1928 r. W artykule „Nasz przemysł fotograficzny” z kwietnia 1928 r. na łamach „Miesięcznika Fotograficznego” S. Rachwał opisuje fabrykę tymi słowami: „Fabryka zbudowana jest na stoku niewielkiego pagórka, z dala od kominów fabrycznych, któreby sadzą i dymem mogły wywierać wpływ ujemny na płyty, w czystym powietrzu wiejskim. Mniej korzystne jest położenie fabryki tuż przy szosie którą latem mkną setki samochodów, wzbierając kłęby pyłu. Stąd urządzenia do zapewnienia fabryce powietrza zupełnie czystego są tam niezwykle starannie obmyślane, a mają postać wielkich filtrów z tkanin odpowiednich, przez które przechodzi powietrze, wysane do fabryki silnikami elektrycznymi”. Wspomina, że fabryka pracuje pełną parą, i że choć niedawno wzniesiona, staje się już za mała na tak dużą produkcję, jaką zaplanowała „Stafra”.

Od września 1928 r. firma rozszerza swój wachlarz wyrobów o chemikalia fotograficzne w proszku i w stanie płynnym. Na rynku dostępnych jest też dziesięć różnych rodzajów płyt fotograficznych. „Stafra” zdobywa nowe rynki zbytu dzięki przedstawicielstwu na całą



1929 r.

Małopolskę, Śląsk Cieszyński, województwa Kieleckie, Lubelskie, Wołyńskie i Poleskie. Zdaje się, że pod koniec 1928 r. zagorzała walka o klienta przynosi upragniony skutek. Wszystko wskazuje na doskonałą kampanię reklamową i dobrze wydane pieniądze – firma „Stafra” staje się w pełni funkcjonującą fabryką, i to zaledwie w niespełna dwa lata od przejęcia firmy „Ewi”.

„Stafra” nadal szuka sposobów na reklamowanie się. W sierpniu 1929 r. rejestruje swój znak graficzny, współfinansuje konkursy, przekazuje swoje wyroby na potrzeby kursów fotograficznych, a udział w Powszechnej Wystawie Krajowej, owocuje otrzymaniem brązowego medalu za swoje wyroby.

21 października 1929 r. firma „Stafra” przechodzi reorganizację na szczeblach zarządu, przez co zmieniła nazwę na „Stafra Fabryka Płyt Fotograficznych St. Czajka i Fr. Nowak”, a siedzibą spółki pozostaje Swarzędz.

Wydawało by się, że poświęcony czas i pieniądze na reklamę zaowocowały. Firma znakomicie prosperuje, wprowadza nowe produkty, zdobywa nowe rynki zbytu oraz dobrze zarabia na pozyskanych odbiorcach. Z tym, że z początkiem 1930 roku o „Stafrze” staje się cicho. Można jedynie znaleźć kilka reklam w „Miesięczniku Fotograficznym” wydawanym we Lwowie oraz krótką wzmiankę w artykule „Ostrzenie z filtrami” Józefa Świątkowskiego w miesięczniku „Fotograf Polski”.

Dopiero 3 sierpnia 1933 r. w Gazecie Nadnoteckiej ukazuje się wzmianka, że „... nieczynną już fabrykę płyt fotograficznych Stafra w Swarzędzu sąd powiatowy w Poznaniu sprzedał

Komunalnej Kasie Oszczędnościowej, która była największym wierzycielem Stafry”.

I choć wejście firmy na rynek było w iście amerykańskim stylu, to zakończenie historii Stafry nie jest szczęśliwe. W gazecie „Nowy kurier” z dnia 11.02.1934 r. opisywano proces o oszustwo bankowe, oskarżonymi w tej sprawie byli między innymi Nowak i Czajka. Oszustwa finansowe na około 200.000 zł jakich mieli się dopuścić na Komunalnej Kasie Oszczędnościowej, zostały wykryte dwa lata wcześniej, a dotyczyły lat 1928 i 1929. Nowak tłumaczył się przed sądem, iż zaciągnął pożyczki dla Fabryki Płyt Fotograficznych „Stafra” w Swarzędzu. Okazuje się także, że był on zarówno właścicielem „Stafry”, jak i dyrektorem Komunalnej Kasy Oszczędnościowej powiatu poznańskiego.

Podczas drugiej rozprawy 15.02.1934 r. sąd uznał oskarżonego Franciszka Nowaka winnym sprzeniewierzenia i fałszowania dokumentów i skazał go na 5 lat więzienia. Natomiast Stanisław Czajka został uniewinniony z powodu braku wystarczających dowodów.

Teraz już wiadomo, dlaczego nikt nie wspominał firmy „Stafra” i dlaczego jej historia została zapomniana. Gdy zaczynałem zbierać materiały do jej opisanie, nie przypuszczałem, że tak potoczą się losy firmy „Stafra”.



Z archiwum Fundacji TRESS

Na koniec wzmianka z Kuriera Poznańskiego z dnia 16.09.1935 r.: „Komunalna Kasa Oszczędności powiatu poznańskiego wystawiła na sprzedaż nieczynną od kilku lat Fabrykę Płyt i Chemikaliów Fotograficznych STAFRA w Swarzędzu”. Być może budynki zostały zakupione przez firmę Duplum produkującą akumulatory.



Natomiast w późniejszych czasach część budynków prawdopodobnie była wykorzystywana jako magazyny przez fabrykę Armatur.

Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Jakim cudem nie przetrwało żadne zdjęcie budynków fabrycznych „Stafr”)? Czyżby proste powiedzenie wszystko tłumaczyło: „szewc bez butów

chodzi”? A może ktoś z Czytających ten tekst posiada jakąkolwiek fotografię zabudowań „Stafr”)?

Karol Wilczyński

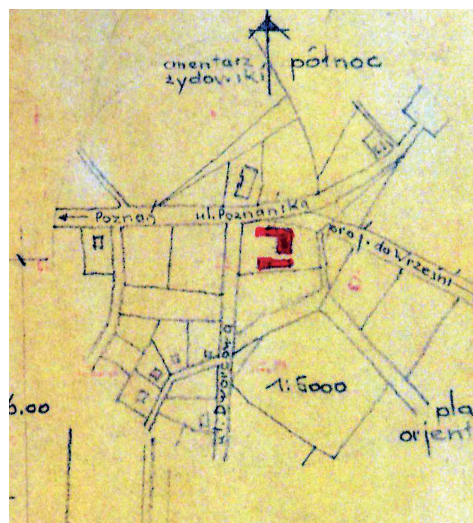
założyciel Projektu MOMF
– Małe Objazdowe Muzeum Fotograficzne

...

DUPLUM – co to takiego?

Fabryka Lekkich Akumulatorów, której nazwę udziałowcy – już w pierwszym roku jej budowy – rozszerzyli o słowo „Duplum” nie była jedyną fabryką elektrotechniczną produkującą tego typu urządzenia w okolicach Swarzędza. Drugą, która powstała wcześniej, była wytwórnia w Mechowie, własność inżyniera Czesława Gottschalka, chociaż tutaj produkowano inny typ akumulatorów. W poniższym artykule chcemy jednak zająć się tylko pierwszą z tych fabryk, tj. „Duplum”.

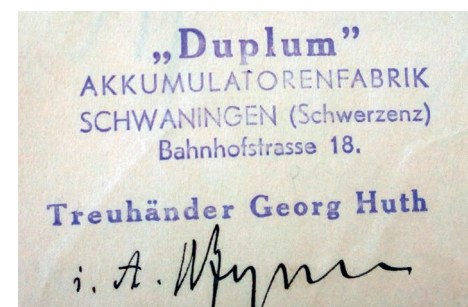
Powstała pod koniec marca 1938 r. Początkiem fabryki było nabycie za kwotę 18 tys. zł od Komunalnej Kasy Oszczędnościowej dla powiatu poznańskiego nieruchomości (wraz z zabudowaniami i częściowym wyposażeniem „maszynowo-technicznym”) po zlikwidowanej, a właściwie upadłej firmie o nazwie „Stafr – Fabryka Płyt Fotograficznych”. Jak podano we wniosku o pozwolenie na budowę, przedmiotem produkcji miało być wytwarzanie akumulatorów lekkich początkowo do radioodbiorników, w przyszłości zaś także do samochodów i motocykli oraz prace „uboczne” związane z produkcją akumulatorów. Podstawą tej produkcji miał być zatwierdzony we wrześniu 1937 r. patent Stanisława Łysińskiego z Poznania. Kapitał początkowy fabryki wynosił 10 tys. zł (stopniowo w miarę upływu czasu zwiększany) i wniosły go cztery kobiety, wśród których była żona wynalazcy Maria Łysińska oraz dwie współmałżonki członków zarządu firmy, tj. Mieczysława Rolbiecka (żona Mieczysława) i Kazimiera Miśkiewicz (żona Władysława) oraz Maria Żmudzińska. W listopadzie 1939 r. do udziałowców dołączyła jeszcze jedna kobieta, a mianowicie Anna Łuszczew-



Duplum – plan sytuacyjny 1938

ska. Firma była samodzielna, nie należała do żadnego konsorcjum, a wszyscy członkowie założyciele byli ze sobą powiązani towarzysko i zawodowo. Początkowo biuro mieściło się w Poznaniu, ale od listopada 1938 r. jej siedzibą stał się Swarzędz przy ul. Dworcowej 18 („na krańcach miasta”).

Fabryka była firmą trudną dla środowiska. Czy zdawano sobie sprawę ze szkodliwości takiej produkcji dla ludzi i miejsca? Nie wiadomo. We wniosku o zatwierdzenie firmy skierowanym do Starosty Powiatowego w Poznaniu podano, że fabryka będzie wytwarzać akumulatory ołowiowe, a wśród materiałów wymienionych jako surowce produkcyjne występują, oprócz ołowiu, sole ołowiowe i kwas solny. Podano także, że fabryka nie posiada sąsiadów ani z lewej, ani z prawej strony. Zatrudnienie miało znaleźć od 20 do 40 pracowników. Pod



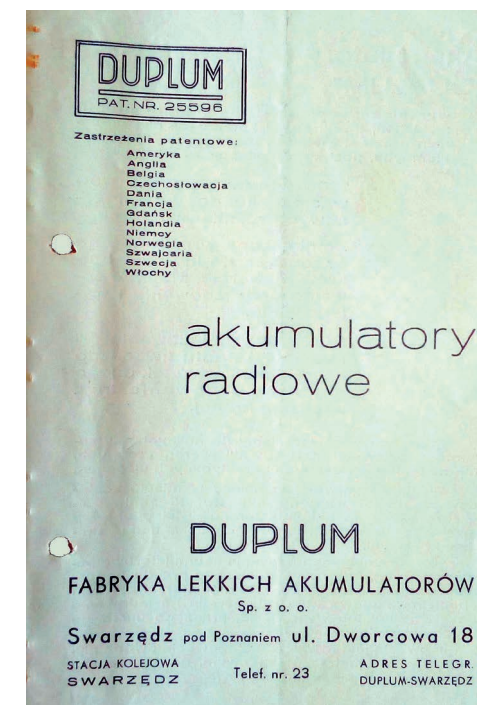
Duplum – okupacja

koniec 1938 r. fabryka nie była jeszcze gotowa, jej uruchomienie zaplanowano na połowę stycznia 1939 r. Licencja S. Łysińskiego opiewała na „płytę masową do akumulatora ołowiowego”. Odpowiednio sformułowana umowa z wynalazcą dawała fabryce prawo na wytwarzanie akumulatorów tego typu na Polskę i Wolne Miasto Gdańsk, później także na kraje europejskie oraz Stany Zjednoczone.

Po wybuchu drugiej wojny światowej fabryka „Duplum”, tak jak większość fabryk i dużych zakładów w Swarzędzu, znalazła się pod zarządem niemieckim, a jej „treuhanderem” został Georg Huth. Fabryka otrzymała nowe oprzyrządowanie i została przystosowana do produkcji akumulatorów nie tylko radiowych. Po wojnie firma działała jako własność prywatna. Jednak w październiku 1948 r. na mocy zarządzenia Wojewódzkiej Komisji do spraw upaństwowienia przedsiębiorstw w Poznaniu (w powołaniu na zapis ustawy o nacjonalizacji z 1946 r.) weszła w skład Elektrotechnicznych Zakładów Wytwórczych ulokowanych w Poznaniu. Ostateczny protokół zdawczo-odbiorczy podpisano w listopadzie następnego roku, a fabryka „Duplum” stała się oddziałem zakładu K-65. Wcześniej, bo we wrześniu 1948 r. „Biuletyn Informacyjny Centralnego Zarządu Przemysłu Elektrotechnicznego” podał, że z dniem 1 sierpnia 1948 r. dyrektorem fabryki został Józef Urbanek.

Do zamknięcia fabryki „Duplum” (używając jej starej nazwy) przyczynił się w znacznym stopniu doktor Antoni Horst (1915-2003), lekarz z Poznania, który już w 1948 r. rozpoznał pierwszy przypadek ciężkiej ołowicy, czyli choroby spowodowanej odkładaniem się (w wyniku bezpośredniego kontaktu z ołowiem

lub wdychaniem oparów i pyłu) w organizmie człowieka ołowiu, co prowadziło do uszkodzenia narządów wewnętrznych (wątroba, nerki), układu nerwowego czy szpiku kostnego. Dr A. Horst stwierdził także, że wcześniej odnotowane przypadki tej choroby wśród zatrudnionych w fabryce były źle diagnozowane. W wyniku jego działań dokonano początkowo tylko pewnej poprawy warunków. W późniejszych latach doszło jednak do zamknięcia fabryki, po tym, gdy liczba zachorowań zwiększyła się i dochodziło do nich nawet wśród pracowników już po kilku tygodniach od ich zatrudnienia.



Duplum – folder

Źródła: Archiwum Państwowe w Poznaniu; Poznańscy lekarze – członkowie Polskiej Akademii Nauk. „Kronika miasta Poznania” 2001 nr 1; S. Nawrocki (red.), *Dzieje Swarzędza*. Swarzędz 1988.

Uwaga: wszelkie uzupełnienia Czytelników dotyczące fabryki „Duplum” mile widziane.

Oprac. Aurelia Bartoszek

LUDZIE Z PASJĄ

Z Radłem za pan brat – wywiad

Ciekawa rozmowa z młodymi pasjonatami starych radioodbiorników, Pawłem Klupsiem i Marcelem Kwaśniewskim, którzy swoją wiedzę historyczną i zdolnościami manualnymi potrafią zawstydzić niejednego starszego miłośnika technicznych zabytków.

Wasza pasja i zamiłowanie do urządzeń technicznych pojawiła się już w dzieciństwie. Który przedmiot zapoczątkował przygodę z zabytkowymi radioodbiornikami?

M.K. W moim przypadku zaczęło się od starego radzieckiego budzika. Zainteresowało mnie wtedy bardzo wnętrze różnych urządzeń. W pewnym momencie znalazłem na elektrośmięciach stary radioodbiornik tranzystorowy i go naprawiłem. Tak się zaczęło.

P.K. U mnie historia z radioodbiornikami zaczęła się, gdy kupiłem zdemolowany egzemplarz niemieckiego radia z końca lat 30. Był to mój pierwszy lampowy odbiornik.

Szczególną uwagę poświęćcie polskim radioodbiornikom przedwojennym. Dlaczego akurat te aparaty wzbudziły Wasze największe zainteresowanie?

M.K. Myślę, że powodów jest kilka. Przede wszystkim, podczas wojny posiadanie odbiornika przez Polaków było zabronione, wiele z nich zostało zniszczonych albo wywiezionych w głąb rzeszy (później również ZSRR). Wiele z ocalałych do dziś egzemplarzy było ukrywanych na strychach, a za ich odnalezienie groziły bardzo surowe kary. Odbiorniki, które nawet przeżyły wojnę, bardzo często stawały się po

niej źródłem części zamiennych, ponieważ na przykład odbiornik z początku lat trzydziestych był zrobiony na niedostępnych po wojnie lampach, a były produkowane tanie i popularne nowe odbiorniki, jak na przykład pionier. To



Od lewej – Marcel Kwaśniewski i Paweł Klupś

powoduje, że bardzo wiele, zwłaszcza prostych odbiorników, nie dotrwało do dziś. Mimo wielkiej popularności w czasie produkcji, na przykład odbiorniki PZT, są dziś dość rzadkie, ponieważ wszystkie z nich były bardzo proste w budowie. Więcej szczęścia miały odbiorniki luksusowe, ponieważ były dłużej eksploatowane, choć powoduje to, że bardzo trudno trafić na egzemplarz bez późniejszych napraw. Warto także pamiętać, że na odbiornikach tych odebrano komunikat o rozpoczęciu drugiej wojny światowej. Przed wojną w Polsce jakiegokolwiek odbiornik lampowy był luksusowym towarem. Szczególnie wielkie emocje budzą we mnie odbiorniki z sezonu 1939/40. Nie dość, że są one bardzo rzadkie, to ich nabywca mógł się nimi pocieszyć maksymalnie miesiąc przed

koniecznością ich oddania, bowiem były one produkowane w okresie letnim w 1939 r.

P.K. Dla mnie polskie przedwojenne odbiorniki są szczególnie specjalne, bo są one jedynym w swoim rodzaju oknem do świata przedwojennej Polski – błyszczącej filmowymi rewiami i brzmiącej szlagierami.

Ze względu na upływ lat coraz trudniej zdobyć takie eksponaty. Gdzie szukacie nowych egzemplarzy do swojej kolekcji?

M.K. Przed wszystkim na OLX i innych portalach z lokalnymi ogłoszeniami. Trzeba tutaj się wykazać szybką reakcją, ponieważ co ciekawsze odbiorniki natychmiast znikają. Czasem kupuję też na allegro, choć tam odbiorniki najczęściej osiągają bardzo spektakularne ceny, które z roku na rok rosną. Na giełdach staroci już praktycznie nie ma nic ciekawego, choć czasem można trafić na perełki. Źródłem części natomiast są elektrośmięci, ponieważ można tam jeszcze czasem trafić odbiorniki z lat pięćdziesiątych, nie nadające się do renowacji, ale idealne na części.

P.K. Oprócz naturalnie pchlich targów, ja szukam radioodbiorników także na międzynarodowym rynku, na przykład na Ebayu.

Do renowacji, często w tragicznym stanie, radioodbiorników i doprowadzenia ich do sprawnego stanu technicznego potrzeba dużej wiedzy zarówno z zakresu elektroniki, jak i obróbki drewna. W jaki sposób nabyliście takie umiejętności?

M.K. Teraz zajmuję się tylko naprawą elektroniki, ponieważ na temat obróbki drewna nie posiadam żadnej wiedzy. Elektroniką interesuję się już wiele lat, przeczytałem wiele książek na ten temat oraz bardzo dużo praktykowałem. Oczywiście nie od razu naprawiałem odbiorniki z pełnym sukcesem, ale praktyka i wychodzenie naprzeciw przeciwnościom pozwoliło mi nauczyć się napraw tego typu sprzętu. Bardzo pomocne w zdobywaniu wiedzy są także fora tematyczne.

P.K. Po prostu je praktykując. Poświęcony czas przekłada się sukcesywnie na umiejętności. Dlatego też idąc do technikum elektronicznego, większość zagadnień z pierwszej klasy miałem już opanowane.

Zapewne środowisko technicznych pasjonatów jest w Polsce liczne. Czy macie kontakt z innymi miłośnikami zabytkowych radioodbiorników?

M.K. Tak, mam kontakt z kilkoma kolekcjonerami. Głównie wymieniamy się urządzeniami oraz wiedzą na temat ich naprawy.

P.K. Ja utrzymuję kontakt przez internetowe fora, istnieje też kilka grup na Facebooku związanych z tą tematyką.

Na pewno często słyszyście pytanie o finanse. W jaki sposób zdobywacie fundusze na powiększanie swojej kolekcji?

M.K. Niestety finanse w tej pasji to dość ciężki temat. Interesują mnie coraz to rzadsze odbiorniki, których cena nieustannie rośnie. Moim sposobem na zdobywanie funduszy jest sprzedawanie odbiorników, które już mnie nie interesują, albo czasem kupowanie niektórych i sprzedawanie ich po naprawie.

P.K. Ja dostaję standardowo kieszonkowe, mam jeszcze takie szczęście, że moja szkoła oferuje mi miesięczne stypendium. Także nowsze (lata 50. i młodsze) odbiorniki z mojej kolekcji powoli sprzedaję, aby zrobić miejsce i zarobić na ciekawsze i przede wszystkim starsze aparaty.

Przed Wami jeszcze długi okres edukacji szkolnej, ale także zdobywania praktycznego doświadczenia. Jakie są Wasze plany na najbliższe lata i czego można Wam życzyć?

M.K. W najbliższych latach zamierzam skończyć szkołę średnią oraz udać się na studia. Chciałbym w przyszłości pracować w branży elektronicznej.

P.K. Na pewno chciałbym skończyć szkołę średnią z dobrym wynikiem, iść na studia, a po tym jakoś sukcesywnie łączyć pracę z zainteresowaniami.

Rozmawiała Anna Roś-Palacz

Fot. A. Nowacki

PRZY KOMINKU

Pogańska świątynia, skarby w jeziorze i tur na bagnach

Opowiadanie o Swarzędzu w drugiej połowie X wieku

Wszystko do tej pory było inne, bardziej zrozumiałe i łatwiejsze. Bóg Swaróg, zaklęty w kamiennej rzeźbie, przyjmował w swojej kącinie miejscowych wiernych i pątników przybywających do niego z odległych stron. Łaskawie patrzył na bogate dary wyznawców i przyjmował je rękami swojego ziemskiego pomocnika – Mikory. Wśród nich nie brakowało ozdób: w postaci złotego pierścienia, srebrnych bransolet i naszyjników, srebrnych krążków z tajemniczymi znakami, kilku pucharów, bryły jantaru wielkości ludzkiej głowy oraz złotego ostrza świętej włócznie Swaroga z obłamanym fragmentem rzeźbionego drzewca. Były także misterne kaptorgi na magiczne przedmioty, które miały zapewniać właścicielowi bezpieczeństwo, zdrowie i szczęście we wszystkich przedsięwzięciach. Wszystkie te skarby przechowywane były w dębowej skrzyni wkopanej niemal po samo wieko w klepisko przed posągami.

Mikora, miejscowy żerca, opiekował się wotami, nie gardząc też skórą bobra, kuny czy też innego większego zwierza, a także przyjmując do jedzenia ryby, mięso, miód, placki i zapasy wszelkiego ziarna. Kończyły się jednak pomyślnie i syte czasy.

W poznańskim grodzie nad rzeką Wartą już kilkadziesiąt lat temu pojawili się ludzie głoszący nową religię. Misjonarze przybyli także do Swarzędza, osady z kącina położoną nad jeziorem, i nauczali, że bóg słońca Swaróg i jego syn Swaróżyc, władca ognia – to fałszywi bogowie.

Wyznawców nowego Boga, który jest stwórcą całego świata, zanurzali w wodzie jeziora na znak przyjęcia ich do wielkiej wspólnoty chrześcijan.

Pogański ołtarz i stoły ofiarne zostały rozbite i wrzucone do jeziora. Posąg bożka był jednak zbyt ciężki i zepchnięto go do bagna rozciągającego się na dole, między skarpgą doliny a jeziorem. Topiel przyjęła Swaroga

zamykając nad nim kozuch brązowego błota, i tylko wyskakujące bąble powietrza świadczyły o tym, że idol zapada się coraz głębiej i głębiej.

Zrobili to sami mieszkańcy Swarzędza, którzy przyjęli nową wiarę, wiarę w Jezusa Chrystusa, o której opowiadali misjonarze z Poznania. Dawnego kapłana i wróżbitę Mikory już w osadzie nie było. Razem z żercą przepadły także bez wieści skarby Swaroga i sprawa ta budziła ciekawość niemal wszystkich mieszkańców osady. Prawdopodobnie tylko Miłek, syn kmiecia Dobromysła, w przeddzień likwidacji kąciny widział wieczorem wróżbitę ze skórzanym workiem idącego pośpiesznie w kierunku jeziora.

Wiał silny wiatr i ostatnie promienie słońca oświeślały lustro wody jeziora. Kilkunastoletni neofita Janik, kolega Miłka, łowił ryby na wędkę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że bez wiedzy Tatę zabrał z domu żelazny haczyk. Wiedział, że postąpił niewłaściwie, i ta świadomość psuła mu przyjemność wędkowania. Trochę wystraszony szumem drzew i pojawiającymi się w zaroślach mrocznymi cieniami, przypominał sobie jak na złość wszystkie straszne opowieści o topielcach, wodnikach, nimfach i innych istotach obecnych w starych wierzeniach. Strach potęgowała świadomość, że w tym właśnie miejscu mieszkańcy osady zatopili fragmenty dawnego ołtarza Swaroga. A nuż stary bóg zechce się teraz zemścić? Przypominał sobie nauki nowego kapłana, powtarzane mu przez rodziców, że tak naprawdę żadnego Swaroga nie było i nie ma. Nie ma także żadnych groźnych dla ludzi wodników, ani czających się w mroku boboków, bo są one tylko wymysłem żerców i wróżbitów. Odruchowo dotknął niewielkiego krzyżyka wiszącego na szyi i złe myśli odeszły. Krzyżyk wyrzeźbił dziadek Janika, wykorzystując odłupany kawałek drewna z konara „świętego” dębu. Tego samego, który rósł na wschód od

kąciny, a który został najpierw ścięty, a potem spalony przez swarzędzkich pierwszych chrześcijan. Wnuk otrzymał krzyżyk zaraz po chrzcie świętym. Misternie wyrzeźbiona postać Chrystusa zachwycała Janika i każdą inną osobę, która dostrzegała go na piersi chłopca.



Drobna rybka, która uciekając przed jakimś drapieżnikiem, wyskoczyła ponad wodę, przypominała mu, że przyszedł na ryby. Przy dużej fali ponad powierzchnią wody ukazywał się chwilami czubek kamienia będącego do niedawna fragmentem stołu ofiarnego. Oparty o leżący na dnie pień topoli powalonej przed laty przez burzę, wolno zapadał się w bagnistym dnie.

W tym właśnie miejscu najlepiej brały pokaźne okonie. Niestety w pewnym momencie haczyk zaczepił o coś i Janik ku własnej rozpaczy nie mógł go wyciągnąć. Wszedł do wody, zanurkował i wodząc ręką po sznurku, zbliżył się szybko do kamienia. Wyrwał haczyk wbity w leżący na dnie pień, łamiąc przy tym jego ostrze. Cenny haczyk był zniszczony! Struchlały, przewidywał krótką, ale bolesną rozmowę z Tatą. Wszak żelazny haczyk na ryby był w osadzie rzadkością. Powszechnie

posługiwano się jeszcze haczykami kościanymi lub wykonanymi z rogu łosia.

W momencie, gdy chłopiec odbijał się od dna ku powierzchni, wodę rozświetlił jakiś blask. Zaskoczony, nieomal zachłysł się wodą. Wypłynął i opierając się rękami o szorstki gład,

jeszcze raz zanurzył w wodzie twarz z otwartymi oczami. Złote migotanie dostrzegł na dnie przy kamieniu. Coś tam było! Jeszcze raz zanurkował, ale już nic nie dostrzegł. Promienie słoneczne przysłoniły wysokie, przybrzeżne drzewa, a i z dna podniósł się muł. Zapadał zmierzch i robiło się ciemno, choć coraz jaśniej świecił księżyc w pełni.

Na drugi dzień, po dziwnej przygodzie kończącej się dość niemiło w domu, Janik opowiedział wszystko przyjacielowi. Reakcja

Miłka była łatwa do przewidzenia. Chciał natychmiast iść nad jezioro, aby sprawdzić, co w wodzie tak ładnie świeciło. Może także świeci w blasku południowego słońca?

Trzeba było przekonywać przyjaciela, że najlepiej, jak będą to sprawdzali także przed wieczorną porą, a przy tym nikt z osady nie będzie ich widział. W gorączkowej rozmowie obydwaj doszli do wniosku, że wróżbita Mikora zabrał cenne dary z kąciny Swaroga, umieścił je w skórzanym worku i chcąc je ukryć przed misjonarzami, zatopił w jeziorze. Chłopcy wiedzieli mniej więcej, jakie cenne wota i dary przynosili Mikorze pątnicy, kupcy i wojowie. Przybywali oni od pokoleń, z najdalszych zakątków ziemi Polan oraz ziem innych plemion będących we władaniu księcia Mieszka i jego przodków.

Miłek przypomniał sobie nawet i opowiedział Janikowi, że jakiś czas temu, wieczorem,

widział postać w jasnej długiej szacie z długimi włosami, która oburącz niosła przed sobą niemały tobolek. To z pewnością był Mikora, kapłan i opiekun świątyni Swaroga. Nikt inny w osadzie nie nosił tak długich szat i nie miał długich włosów. Gdy w ten sam wieczór opowiadał spotkanie swojej młodszej siostrze, ta ze strachu pobladła i stwierdziła, że to na pewno był wilkołak albo mamuna. Po czym uciekla do Mamy, próbując powtórzyć opowieść brata. Mama nic z relacji córeczki nie zrozumiała i zajęta przy palenisku, machnęła ręką na dziecięce gadanie.

Chłopcy zdecydowali się na wyprawę, gdy słońce chyliło się ku zachodowi. Po cichu, choć rozemocjonowani, zbliżali się do brzegu jeziora. Woda lekko falowała i szemrała, omywając przybrzeżne kamienie i szuwały.

Gdy dochodzili do wody, nagle, niemal przy samym brzegu jeziora, rozległ się potężny plusk. W powietrzu nad wodą uniosło się coś dużego i wyłoczonego w ostatnich promieniach słońca. Potem z siłą opadło, wzbijając fontannę i moczając struchlałych chłopców. Niemal w tej samej chwili za ich plecami rozległ się przeraźliwy pisk i coś wpadło między nich i przywarło do Miłki. Ten przewrócił się na trawę, a tysiące myśli przebiegały przez jego głowę. Jedna straszniejsza od drugiej: „stryga, mamuna, upiór! chce mnie zaciągnąć do wody i utopić!” Zaczął się szamotać i... wtedy zauważył jasne włosy, które mogły należeć tylko do Dobromiły. Siostra potajemnie poszła za chłopcami ciekawa celu ich wyprawy. „Zjawą”, która wyskoczyła z wody tak dziewczynkę wystraszyła, że bez namysłu wyskoczyła z kryjówki, aby dołączyć do brata i jego kolegi.

– Dobrosia – wyszeptał Janik, a Miłek przykucnął, chwycił siostrę za rękę i wyszeptał: – Ciiiicho...

Zamarli, wstrzymując oddechy i drżąc ze strachu. Woda jeszcze się nie uspokoiła, trzciny gwałtownie się kołysały, a wystraszone ptactwo wodne rozkrzyczało się i nagle ucichło. Zapomnieli nauk księdza, że żadnych straszylek nie ma. No przecież to była mamuna! Znowu wschodził księżyc w pełni. Jego blask był tak mocny, że Janik i Miłogost widzieli wyraźnie na trawie własne cienie oraz cienie drzew i krzewów.

O dalszej wyprawie nie mogło być mowy. Przerażone dzieci chyłkiem, ale pośpiesznie wycofywały się i oddalały od jeziora, starając się nie robić hałasu.

Wychodząc z nadjeziornych zarośli, spostrzegli z przerażeniem wysoką, zwinną postać, która ich wyminęła i sunęła na wschód w kierunku bagien. Tego było już za wiele. Gnani strachem biegli na przełaj do osady, nie zwracając uwagi na hałas oraz gałęzie chłoszczące i szarpiące ich odzienie. Chłopcy uciekali w milczeniu, ale przerażona Dobrosia głośno pisała.

Nazajutrz Janik i Miłek pomagali przy bydle w zagrodach swoich rodziców. Mała Dobrosława została w domu i nie odzywała się do nikogo – co Mama uznała za mocno podejrzaną. Zwykle córka była od samego rana tak „rozćwierkana”, że trzeba było ją co chwila uspokajać. W nocy często się budziła i przytulała mocno do mamy, która rano zauważyła, że dziewczynka coś przeżywa. Sygnalizowały to jej wielkie, nieme i pociemniałe oczy. Teraz jednak, nawet pytana co się stało, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nowe zmartwienie!

Miłogost także był jakiś wyciszony i unikał wzroku Mamy, a po pracy w obórce pobiegł do przyjaciela.

Janik jeszcze wieczorem przy posiłku zaczął opowiadać rodzicom, że: „był nad jeziorem, że coś wielkiego wyskoczyło z wody, a oni – czyli Janik, Miłek i Dobrosia – bardzo się tego wystraszyli i uciekli”.

Mama spojrzała pytająco na Tatę.

– W jeziorze są bardzo wielkie ryby – rzekł Tato – i one czasami, polując na mniejsze stworzenia, robią tyle hałasu.

Nazajutrz, gdy Janik obudził się, Tato wszedł do domu niosąc wielki kawał jakiegoś mięsa. – To był olbrzymi sum – powiedział – który zaplątany w zastawione sieci próbował się uwolnić. Z samego rana czterech ludzi wyciągało zipiącą jeszcze „bestię”. Podzieliliśmy go od razu między rodziny. Ryba była tak duża, że wystarczyło jej dla wszystkich rodzin w osadzie – i to po dużym kawałku!

Potem spojrzał poważnie na syna.

– Musisz być ostrożny nad jeziorem – powiedział – ten sum mógł zaatakować nawet dorosłego człowieka, a co dopiero dziecko. Pamiętaj,

gdzie przepadł pies Miłogosta? Świadek widział, jak chleptał sobie wodę z jeziora i nagle zaatakował go wielki sum, wciągnął do wody i po chwili po psie nie było śladu! A ty podczas wędkowania wchodziłeś wieczorem do wody, i to w czasie gdy one rozpoczynają żerowanie! To dlatego mieliśmy taką niemłą „rozmowę”.

Po chwili dodał:

– Żelazny haczyk nie jest dla mnie najważniejszy – ty jesteś ważniejszy i masz pamiętać, aby zawsze być ostrożnym.

Janik nie chciał przedłużać rozmowy i nie wspominał już o straszyle, które chodziło po zaroślach. Nie chciał, aby Tatę zainteresował cel wyprawy syna z przyjaciółmi nad jezioro.

Zaraz potem chłopcy spotkali się w ulubionym miejscu wspólnych zabaw, przy wielkiej topoli rosnącej obok wąwozu. Janik szybko wytłumaczył wieczorne wydarzenia nad jeziorem i chłopcy pobiegli szukać Dobrosi. Postanowili jednak nie wyjawiać nikomu celu nocnej wizyty nad jezioro. Mama Miłki także wysłuchiwała trochę chaotycznych tłumaczeń chłopców i miała wątpliwości dopóty, dopóki mąż nie przyniósł wielkiego kawałka złowionego przez rybaków suma. Dobrosława w miarę słuchania uspokajała się, a jej oczy nabierały swojego normalnego blasku. Na koniec Miłek, lekko zniecierpliwiony, zwracając się do siostry powiedział:

– Sama widzisz, że nie powinnaś za nami chodzić!

Tymczasem Mikora, niedawny jeszcze kapłan głowił się nad sposobem odzyskania skarbu Swaroga, który w ostatniej chwili został ukryty w jeziorze. Wróżbita był zły i rozczarowany, że Swaróg nie interweniował podczas rozbijania kąciny przez chrześcijan. Może bóg chce odczekać z ukaraniem dawnych wyznawców i robi to w bardziej odpowiednim czasie? Postanowił, że cenne dary trzeba przekazać do świątyni w Gnieźnie, aby nie dostały się w ręce chrześcijan.

Od kilku dni ukrywał się w szałasie w pobliżu wschodniego uroczyska opodal swareckiej osady. Miejsce odludne i niebezpieczne ze względu na podchodzące tu wilki, łosie, a nawet potężne tury. Szałas należał do kmiecia, który był kiedyś gorliwym wyznawcą Swaroga i dawniej był pierwszym pomocnikiem Mikory.

Kapłan zdawał sobie sprawę z tego, że im dłużej będzie zwlekał, tym trudniej będzie odzyskać wota. Niestety, za każdym razem gdy wybierał się nad jezioro, ktoś mu przeszkadzał swoją obecnością. Ostatnio przeraziła go mamuna, która pewnie rozpoczęła pranie w jeziorze robiąc dużo hałasu, a potem jeszcze jakieś utopce, które popiskując galopowały po przybrzeżnych krzakach.

Znowu zbliżała się pełnia księżyca i wreszcie będzie można wydobyć z jeziora swarogowe skarby bez używania łuczywa. Nad jezioro poszedł jeszcze zanim zaczęło zmierzchać. Zabrał ze sobą skórzany worek, zawiesił go na gałęzi drzewa nachylonego nad wodą i wszedł do wody. Jeżeli ktoś przypadkiem nadejdzie to pomyśli, że Mikora przyszedł wybierać raki.

Dotarł do kamienia, przy którym zatopił skarby. Zanurkował i zobaczył, że worek jest rozwiązany, a leżące na dnie cenne wota migotały złotem, srebrem i blaskiem bursztynu. Brakowało mu już tchu i musiał wystawić głowę aby zaczerpnąć powietrza. Zanurkował znowu. Chwycił za krawędź skózanego worka i pociągnął do siebie. Tobolek, przygnieciony częściowo przez osuwający się głaz, nie dał się wyciągnąć, a cenne przedmioty rozsypany się szeroko dookoła. Kapłan wzywając w myślach Swaroga, Peruna oraz innych bogów, nurkował i gorączkowo zbierał wota coraz to wypływając i wrzucając je do wiszącego na drzewie worka. Na dnie pozostały jeszcze do zebrania drobne przedmioty ze złota i srebra oraz naszyjniki z bursztynu. Wyczerpany zatrzymał się na chwilę i wtedy usłyszał trzask łamanej gałązki. Zwierz czy człowiek? Nie namyślając się, wyskoczył z wody i nie bacząc na czyniony przez siebie hałas, porwał worek z pobieranymi z grubsza przedmiotami i puścił się pędem w kierunku uroczyska. Zmierzch już zapadł i biegnący Mikora ledwo widział ścieżkę wśród wysokich traw. Dopadł do szałasów i w tej samej chwili spostrzegł leżącego opodal zwierza o nieco jaśniejszej sierści odbijającej się od mrocznych zarośli. Potężny tur, król puszczy, polan i łąk – bo to on był właśnie – podniósł się zadziwiająco szybko i ruszył rozjuszony w kierunku szałasów i zaskoczonego człowieka. Nie było na co czekać! Mikora rzucił się do ucieczki na przełaj, najpierw przez krzaki, a potem przez trzciny

i tatarak, które porastały bagna rozciągające się w dolinie rzeki Cybiny. Zapanowała już ciemność, co prawda rozświetlana blaskiem księżyca, ale zarośla pogrążone już były w mroku. Biegący Mikora miał jednak pecha. Nagle wpadł w topielisko i zanurzony do pasa, zaczął tonąć. Krzyknął rozpaczliwie, a jego głos poniósł się daleko doliną, uciszając głosy budzących się nocnych zwierząt i wzbudzając trwogę w sercach mieszkańców osady. Spojrzał w górę. Na tle jaśniejszego nieba odbijały się czarne gałęzie rosnących opodal krzaków. Trzeba było wybierać: albo skarb Swaroga, albo życie!



Z oddali dochodziło zbliżające się młaskanie błota rozbryzgiwanego przez tura i trzask miazdżonych krzaków i drzewek. Kapłan odrzucił w ciemność cenny tobół i dysząc z wysiłku, uniósł ręce ku górze. Sięgnął gałęzi, zastygł na moment w bezruchu i ostatkiem sił, wolno zaczął wydobywać się z bagna. Postanowił, że wróci w to miejsce za dnia, odnajdzie i zabierze tobół. Nagle zdał sobie sprawę, że nie słyhać rumoru czynionego przez goniącą go dziką bestię. Natomiast z odległości kilku-

dziesięciu kroków dochodziły do niego odgłosy szamotania się, sapanie i pluski. Rozległ się potężny ryk tonącego zwierza, potem bulgot i wreszcie nastała cisza.

Janik i Miłek także czekali na pełnię i w wielkiej tajemnicy przygotowywali się do wyprawy. Dociekliwe pytania Dobrosi zbywali żartami i wymyśloną bajeczką o skrzatach i krasnalach, o boboku czającym się w ciemności, aż rozgniewana Mama surowo upomniwała chłopców, aby nie przypominali zabobonów i nie straszili dziewczynki.

Dwójka przyjaciół spotkała się przy wielkiej topoli za wąwozem rozcinającym skarpe jeziornej doliny, którego dnem wiodła droga na wschód, do Kostrzyna. Obydwaj wzięli (na wszelki wypadek!) mocne kije zaostrzone na jednym końcu oraz sznur. Janik przekonał Miłkę, że najlepiej będzie, jeśli to on podpłynie do kamienia, ponieważ zna miejsce zatopionego skarbu. Miłogost miał ubezpieczać Janika obwiązane w pasie sznurem, aby w razie jakiegoś niebezpieczeństwa można było szybko wyciągnąć go z wody.

Zbliżali się do jeziora, gdy pod nogą Janika głośno trzasnęła sucha gałązka. Odruchowo zatrzymali się i wtedy w świetle księżyca zobaczyli jakąś postać wychodzącą pośpiesznie z wody. Wyraźnie widzieli długie włosy i powłóczyście szaty, z których ciekła woda. Nie mógł to być nikt inny jak kapłan Mikora! Chłopcy skulili się ze strachu i przywarli do ziemi. Postać szybko zdjęła z gałęzi wiszący tobół i puściła się biegiem wzdłuż brzegu jeziora kierując się na wschód. Po chwili hałas ucichł, a Miłek stwierdził markotnie:

– No i po skarbach. Ale musimy to jutro sprawdzić! Jak było do przewidzenia, nic nie znaleźli.

Janik co prawda zanurkował dwa razy, ale za każdym razem mrok na dworze i zawiesina mułu skutecznie zasłaniała dno jeziora. Rozczarowani, rozmawiając cicho, wracali do osady, a gdy dochodzili już do pierwszej zagrody, usłyszeli przeraźliwy, nabrzmiały strachem krzyk jakiegoś człowieka dochodzący od strony uroczyska. Umilkli i znieruchomieli, a po chwili dobiegł ich potężny ryk zwierza z topieli. Przerażeni rozdzielili się i bez pożegnania pobiegli do swoich domów.

Po paru dniach, gdy wspomnienia przybladyły, przyjaciele znowu wybrali się nad wodę, aby wykopać się, wykorzystując ostatnie dni lata. Przy okazji przeszukali fragment dna przy wielkim kamieniu w nadziei, że w promieniach południowego słońca coś znajdą. Niestety poszukiwania nic nie dały i chłopcy doszli do wniosku, że kapłan zabrał wszystkie skarby.

Parę dni po przygodach dzieci Mama patroszyła dorodnego lina złowionego przez Miłogosta, a syn z dumą i ożywieniem opowiadał, jaką założył przynętę, jak spławik zaczął wolno przesuwac się po wodzie, aby wreszcie zniknąć pod powierzchnią, jaka była walka, aby rybę wyciągnąć na brzeg... W pew-

nym momencie Mama nagle znieruchomiała. W trzewiach czyszczonej ryby znajdowało się coś twardego.

– A to co?! – rzekła zaskoczona, a Miłek umilkł widząc w dłoni Mamy piękny, choć nieco przybrudzony złoty pierścień z zielonym kamieniem. Pośpiesznie obmyty w czystej wodzie prezentował się okazale. W słonecznym promieniu wpadającym do chaty kamień migotał i rzucał zielone refleksy na twarz Mamy i Miłka. Zapatrzeni milczeli chwilę.

– To było w brzuchu ryby? – wyjąkał wreszcie zdumiony Miłek i pierwsza myśl, jaka błysnęła mu w głowie, była taka, że to część skarbu, który zgubił wróżbita, uciekając na bagna.

Zerwał się z ławy i pobiegł do Janika podzielić się nowiną.

Kapłan Mikora jeszcze kilka razy potajemnie wracał na wschodnie uroczysko cybińskich bagien. Szukał porzuconego przez siebie skarbu. Niestety, owego pamiętnego wieczoru, gdy topiel pochłonięła potężnego tura, pochłonięła także cenne wota bożka Swaroga.

Skarb do dzisiaj drzemie pod grubą warstwą torfu i czeka... na swojego odkrywcę.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW DZIŚ NIE UŻYWANYCH

boboki, krasnale, mamuny, nimfy, skrzaty, strzygli, topielice, uplory, wilkołaki, wodniki i in. – wymyślone w czasach pogańskich (i późniejszych) istoty, które według ówczesnych wierzeń najczęściej szkodziły ludziom;

Dobromysł, Dobrosława, Janik, Miłogost, Mikora – imiona popularne na ziemiach Słowian we wczesnym średniowieczu;

janfar – bursztyn;

kaptorga – rodzaj woreczka lub szkatułki noszonych na szyi, w których umieszczano talizmany, a potem relikwie, popularne w czasach wczesnego średniowiecza wśród ludzi zamożnych, często ozdabiane srebrem lub złotem;

kącina – świątynia pogańska;

łuczywo (inaczej pochodnia) – narzędzie służące do oświetlania;

Perun, Swaróg, Swarżyc – imiona pogańskich bożków popularnych w przedchrześcijańskich wierzeniach Słowian;

tur (*Bos primigenius*) – wymarły w XVII wieku gatunek ssaka, przeżuwacz z rodziny pustorożców; fragmenty jego szkieletu znaleziono w torfie nad Cybiną w 2004 roku. Kości obecnie znajdują się w swarzędzkim „muzeum”;

żerca (zwany także ofiarnikiem) – słowiańska nazwa kapłana z czasów pogańskich.

Pejzaż horyzontalny

Wśród wielu wspomnień z dzieciństwa, które kłębią się gdzieś w mojej głowie i od czasu do czasu próbują o sobie przypomnieć, jest to o betonowym murze i skrywanym przez niego tajemniczym świecie. Wiem, wiem – brzmi to jakbym mówiła co najmniej o murze berlińskim. Tymczasem było to zwykłe ogrodzenie. Mieszkaliśmy wtedy w blokach nie budowanych jeszcze z wielkiej płyty, ale jednak w blokach. Dzieciaków było całe podwórze. Czasy były takie, że bawiliśmy się w brudnych kałużach, a wszędzie czyhały na nas niebezpieczeństwa pod postacią niespełniających dzisiejszych norm huśtawek, drabinek i zabawek oraz bakterii ze śmietnika, który również był areną naszych zabaw. Czyhał również dozorca czekający tylko na nasz fałszywy ruch w postaci wbiegnięcia na trawnik. Nie wolno było i już! Mimo tych różnych niedogodności byliśmy po prostu szczęśliwymi dziećmi, którym wystarczyło kilka metrów gumki do majtek, żeby się bawić. Nasz blok graniczył z niedużą fabryką armatur, ale nikomu wówczas to sąsiedztwo nie przeszkadzało. Pomiędzy budynkiem a fabrycznym płotem była droga. Prowadziła donikąd. Kończyła się murem. Ten mur budził ciekawość dzieciaków, które w tym miejscu najlepiej się bawiły. Przez szpary widzieliśmy zieloną łąkę, ale nie mieliśmy do niej dostępu.



Z naszego balkonu na czwartym piętrze widziałam pola rozciągające się za ogrodzeniem, ale nigdy tam nie byłam. Czy mogłam wtedy przypuszczać, że kiedyś betonowy mur runie, a na łąkach i polach, jak grzyby po deszczu, zaczną się wznosić budynki? Zaczęły powstawać osiedla i dokładnie pamiętam moment, kiedy rozebrano ogrodzenie. Bezpośrednio za nim znalazło się boisko i kilka huśtawek. Czuliśmy się jak wypuszczeni na wolność. Nikt już nie krzyczał, że zdeptujemy trawę.

Minęło wiele lat. Nie ma już śladu po dawnym murze. Nie ma nawet śladu po boisku i huśtawkach. Również fabrykę zlikwidowano. Powstały nowe osiedla, dwie szkoły, kościół i kilka marketów. Już inny świat. Jednak świata z dzieciństwa się nie zapomina.

Hanna Jałocha

...

Skarby na każdą kieszeń, czyli jak miło wspominać

Czy byliście kiedyś w komnacie pełnej skarbów? W naszym miasteczku było takie miejsce. Znało je kilka pokoleń jego mieszkańców, a teraz odeszło w zapomnienie. Dawno temu zaprowadzili mnie tam rodzice...

Pamiętam, że wchodziło się po kilku kamiennych schodkach. Otwierając stare drzwi, uruchamiało się dzwonek. Za drewnianą ladą wyposażoną w szklane gabloty stał wszystkim w miasteczku znany Pan Majerowicz. Sklepik był maleńki i do dzisiaj nie mogę pojąć, w jaki sposób mieścił się tam tak wielki asortyment, że każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Nie ważne czy od babci lub cioci dostało się złotówkę czy pięć złotych. Ważne, że za każdą z tych

kwot można było coś kupić. Coś, co cieszyło. Były to czasy kiedy cieszyło wszystko. Naszą rzeczywistością były landrynki przyklejone do papierowych torebek oraz kolorowa woda w woreczkach. Dlatego właśnie cieszyło nas wszystko. Choćby to był zwykły długopis. Ale tam długopisy wcale nie były zwykłe. Przede wszystkim, przeciwieństwie do szarej rzeczywistości, było tam bardzo kolorowo. Pewnie była to zastuga ówczesnej produkcji rzemieślniczej. Długopisy były piękne: w ich przejrzystym wnętrzu pływały plastikowe mini stateczki lub (dla bardziej dojrzałych klientów) figurki niekompletnie ubranych pań. Były też modele piszące czterema lub sześcioma kolo-

rami, a przez pewien czas hitem były wielkie długopisy z podobizną Jana Pawła II (ten trend zapoczątkował Lech Wałęsa). Myli się jednak ten, kto myśli, że był to sklepik z wyrobami piśmienniczymi. Lista towarów jest długa: piłki, piłeczki, skakanki, kolorowe wiatraczki, żołnierzyki, kolarzyki, spadochroniarze, autka, wiaderka, łopatki, figurki smurfów, Rumcajsów, Cypisków, podobizny myszki Miki i kaczonego Donaldy, bączki, karty do piotrusia, kalkomanie, cała gama przypinek z idolami muzycznymi, mnóstwo spiniek do włosów. Pamiętam również paski do spodni z modnymi wielkimi klamrami w stylu westernowym. Żadna ważna uroczystość rodzinna nie obyła się też bez telegramu lub kartki z życzeniami wybranej z szerokiego

asortymentu Pana Majerowicza.

Pamięć ludzka jest zbyt ulotna, żeby wymienić wszystko. Jednak to, co opisałam wystarczyło, żeby łąza w moim oku się zakręciła. Iniech mi ktoś powie, czy nasze dzieciaki będą miały takie wspomnienia?! Wątpię, żeby tak ciepło w przyszłości myśleli o którejś wielkiej galerii handlowej pełnej bezosobowych sklepów z zabawkami...

Wiem, że żyjemy w XXI wieku. Korzystamy z wielu udogodnień, o których nasi rodzice nawet nie marzyli. Jednak czasami miło wspominać...

Hanna Jałocha

...

Z pamiętnika Covida Covidowicza von Sars

22.12.2020, wtorek

Oj, podpadłeś mi Ministrze! Jeszcze jak mi podpadłeś! Jakim prawem w listopadzie zamknąłeś biblioteki na cały miesiąc i pozbawiłeś mnie możliwości prokreacji? Dobrze wiesz, że nie samymi książkami covid żyje. Potrzebuję też białka i odrobiny szarych komórek czytelników! Żeby mi to było po raz ostatni, Ministrze! Jasne?

Uff... no to sobie odreagowałem. Ogólnie, to poprzedni miesiąc upłynął mi na czytaniu poradników. Miałem z tego niezły ubaw, bo dowiedziałem się na przykład, że jak nie mamy noża, to możemy pokroić ciasto nicią dentystyczną. Przeczytałem też książkę Sherry Argov „Dlaczego mężczyźni kochają żony”. Cytuję: „Zasada atrakcyjności nr 8. Żołę od kobiety zbyt milej różni najbardziej strach. Żołza pokazuje, że nie boi się żyć bez mężczyzny”. I ja to rozumiem, bo nie potrzebuję narzeczonej, ani tym bardziej żony. Po co ma mi suszyć głowę, że skacze z kwiatka na kwiatek... to znaczy z człowieka na człowieka. Podszkoliłem się też z coachingu, zakazanej psychologii i inteligencji makiawelicznej. Naprawdę w tej bibliotece mają dziesiątki genialnych poradników!

Aha! Zapomniałem wspomnieć, że o mały włos dostałbym zawału. Siedziałem sobie w piątek pogrążony w lekturze „Mowy ciała”, a tu nagle otwiera się na mnie paszcza wielkiego rekina! Wydarłem się na całą bibliotekę i czym



prędzej schowałem się w „Starym Testamencie”. Jednak rekin mnie tam znalazł. I całe szczęście, bo inaczej nabawiłbym się kataru. Niestety, jestem uczulony na psalmy... Okazało się, że to nie żaden rekin, tylko Ludwik, stary przyjaciel biblioteki. Zakumpłowaliśmy się, że hej! Dwie noce dyskutowaliśmy na temat sensu istnienia (mamy różne poglądy), a wczoraj upiekliśmy cztery blachy pierników. Za chwilę zaczynamy razem lepić pierogi według przepisu pani Grażyny, bo podobno robi najlepsze ciasto na śmietanie. To moje pierwsze święta, więc nie znam jeszcze zwyczajów, ale postaram się chociaż nie przeszkadzać. Ludwik mówi, że nie jest pewien, czy tak zwany Mikołaj przyniesie mi jakiś prezent pod choinkę, bo podobno byłem niegrzeczny...

Cdn.

Agata Widzowska

BIBLIOTEKA NOCĄ...

Gdy w bibliotece robi się ciemno,
cały księgozbiór stara się zdrzemnąć...
Leżą pokotem encyklopedie,
dramat usypia tragikomedie,
poezja czeka w nocnej koszuli
aż ją do spania księżyc utuli.

Śpią już horrory i kryminały,
które z siekierą wcześniej szalały,
sapią jak smoki długie powieści,
śnieć o przygodach zawartych w treści.

Leżą na boku ekliwse romanse
(tak je zmęczyły miłosne harcse!)
chrapią zmęczone życiem słowniki,
tomiki wierszy i wykrzykniki.

Nawet lektury obowiązkowe
na twardych półkach złożyły głowę.
– Dobranoc. – szepcze literatura,
by w senne mary szybko dać nura...

Lecz gdyby przyszedł tu nocny marek,
nie ujrzy śpiących bibliotekarek.
One pod kołdrą grzeją swe nóżki,
czytając wcześniej coś do poduszki...

Agata Widzowska

SEKRETNE ŻYCIE BIBLIOTEKAREK

Sekretne życie bibliotekarek:
dziergają swetry,
szyją na miarę,
tworzą z papieru cud origami,
prozę i wiersze piszą czasami,
robią remonty, pielą ogrody,
w różnych dziedzinach stają w zawody,
biegają, tańczą i ćwiczą jogę,
zawsze są eko, walczą z nałogiem,
mają kolekcje monet i lalek,
fotografują na wielką skalę,
skręcają meble (czasami nogi),
robią nalewki, lepią pierogi,
haftują, rzeźbią, malują, tkają...
Czy kiedykolwiek odpoczywają???
Jest na to rada wręcz znakomita.
Mają odpocząć?
Daj im poczytać!

Agata Widzowska